

ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 28 kwietnia 1912 r.
Nr. 17.

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Słowa a czyny.

Coraz bardziej rozpowszechnia się wśród naszego narodu mania wygłaszania czczych haseł, zapowiadania projektów, robienia obietnic. W bardzo wielu wypadkach kończy się to na słowach, po których nadarmo oczekujemy czynów. A do pracy społecznej potrzeba nie czczych haseł, nie słów, ale czynów, któreby społeczeństwu prawdziwą korzyść przynieść mogły.

Wszelka inicyatywa jest o tyle dobra, o ile możemy wprowadzić nasze zamiary w czyn. Łatwo bardzo płodzić tysiące projektów, zakreślać szerokie widnokręgi, lecz od czczych słów do czynu dzieli nas częstokroć ogromna przestrzeń niemożliwych do zwalczenia przeszkód. Nie ten jest dzielny, który pustą, gadaniną obałamuca umysły i narzuca swe zdanie pragnąc zmusić otoczenie do poklasku — lecz jedynie ten, który, mierząc zamiary na siły, pracuje nad tem, by w istocie dokonał tego, co zamierzył.

Przerzucanie się od projektu do projektu a niechęć czy nieumiejętność dokończenia rozpoczętej pracy jest świadectwem lekkomyślności i chęci popisywania się swoją niby to dobrą chęcią, ale przecież i piekło podobno jest też dobremi chęciami wybrukowane.

Ci próżni »gadacze« byli zawsze i pozostaną klęską własnego społeczeństwa, udręczeniem tych którym ze swojemi pomysłami się narzucają, gdyż zanim cokolwiek poczynają robić, opadają im ręce, bo oto w pustej głowie pęka nowy fajerwerk z ogłuszającym hukiem — i świeży pomysł rzuca się na szalę nowych projektów. Kto nie idzie naprzód do ściśle zakreślonego celu, ale się cofa i chwieje, ten nie ma prawa narzucać swych myśli nikomu.

Społeczna praca nie jest zabawką, ani czczym popisem nieraz niemądrej wymowy dla zdobycia poklasku. Trzeba prócz pięknych pomysłów mieć wiele energii, cierpliwości i zdolności, by sterować łodzią społeczną, by nie wypuścić z rąk wiosła i dobić do brzegu.

Pracy trzeba się poświęcić z zaparciem własnego ja, nie upajać się kadzidłami ludzi nieszczerych, lecz mężnie zwalczać przeszkody — a kto tego dokona, ten zasłuży na uznanie.

Pamiętajmy zawsze o tem, że kto bierze na siebie jaki ciężar, jaki obowiązek, do którego nie dorósł, ten nie może skutecznie pracować. Bo człowiek powinien przerastać swą pracę a nie praca jego siły.

Wśród naszego społeczeństwa dzieje się jednak często przeciwnie. Na czoło tego społeczeństwa wysuwają się tu i ówdzie zwykli krzykacze, którzy ani sił do owocodajnej pracy nie posiadają, ani chęci do niej nie mają. I ludziom tym nie zależy zupełnie na pracy samej, ale głównym ich celem jest zdobycie taniej popularności, aby na barkach swego otoczenia wydrapać się na jego naczelne miejsce.

I nie to dziwne, że tacy ludzie są, ale to dziwniejsze, że wielu jest jeszcze takich, którzy idą na lep pięknych słówek, nie patrząc na czyny.

Z drugiej strony przyznać trzeba, że jest wiele takich jednostek, którym nie zależy na czczej sławie, ale pracują tylko dlatego, aby praca ich przyniosła korzyść społeczeństwu. O czynach tych ludzi w czasie ich pracy mało kto wie, a dopiero, zobaczywszy skutek tych czynów, ze zdumieniem nań ogół spoziera. Ale zdziwienie to przemija prędko, bo zwykli krzykacze, albo owoce pracy innych sobie przypisują, albo starają się znaczenie cudzej pracy zmniejszyć lub czasem zgoła zniszczyć. Dopiero lata przyszłe, dopiero historya jednych i drugich należycie oceni i w właściwem świetle przedstawi.

Ale i nam nie należy iść na lep pięknych słówek, tysięcy obiecanek, lecz żądać czynów, które nam i naszemu społeczeństwu korzyść przynieść mogą. Wszędzie i na każdym kroku ziarno od plew rozróżniać należy.

Jacek Obrochta.

Opowiadanie starego górala.

7. Perłowicz i Wołoszyn.

Ucieszył się Perłowicz napotkaną chatą
I choć z trudem niemałym przez rzekę przepływa,
A woda była rwącą, prawie lodowatą.
Przepłynąwszy, paliczką do drzwi się dobywa.



— »Kto tam?« zcicha głos jakiś wystraszony pyta.
— »Podróżny, otwórz!« młodzian na to odpowiada.
Drzwi skrzypnęły, od progu spojrzy nań kobieta
Okiem podziwu pełnem, wylękniona, blada.
— »Niech będzie pochwalony!« przychodzień ją wita.
— »Na wieki wieków. Amen«, odpowie kobieta.
— »Skąd się tu wziąłeś, chłopcze?«
— »Skąd? z Niżniej Szczawnicy;
A wy skąd?«
— »Ja z Jaworek,« szepnie głos kobiecy.
— »A któż ci tu przyjść kazał?«
— »Sam sobie kazałem.«
Na to kobieta z lękiem odpowie niemałym:
— »Umykaj, pókiś cały, póki ten za drzwiami
Spi«! To mówiąc, z przestrachem wskazała palcami
Drzwi, co do białej izby właśnie prowadziły
Z czarnej, gdzie rozmawiali, a zamknięte były.
— »Któż tam spi taki straszny?« spyta uśmiechnięty
Młodzieniec kobieciny dziwnie przelękniętej.
— »Śmiej się, śmiej, ale ja ci mówię, Panie święty,
Jeśli mnie nie posłuchasz, ujrzysz go, człowiecze!«
— »O, moja matuleńko,« Perłowicz odrzecze;
»Czyż potom zrobił tyle uciążliwej drogi,
By, doszedłszy, uląc się i umykać w nogi?«
— »Nie chcesz? zostań, lecz długo żyw tu nie pobędziesz,
A jako sobie ścielesz, tak też i spać będziesz.«
— »No, to mówcież, matulu wreszcie, przez Bóg żywy:
Któż to jest ten wasz gazda, tak strasznie straszliwy?«

Nic się na to nie chciało odrzec kobiecinie;
Lecz zaczęła się, milcząc, krzątać przy kominie.
Perłowicz, na paliczce wsparty, siadł na ławie,
I począł się po izbie rozglądać ciekawie:

Taka była, jak wszędzie; półeczki drewniane,
Na nich miski i garnki stały polewane;
Na »paleniu« suszą się drewka pod okapem,
A dym czołga się zwolna pod czarnym okapem
I powoli się dziurą na piąterko wlecze,
Aż stąd, przez strych, szparami w dachu precz ucieczе.

— »No i cóż, moja matko: czy mi nie powiecie,
Co to za osobliwość, ten wasz gazda przecie?

Machnęła niecierpliwie ręką kobiecina;
Ba, i Perłowic wkońcu nudzić się zaczyna
I nie czekając, do drzwi paliczką szturmuje,
A babina z rozpaczą ręce załamuje.

— »Kto tam!?« gruby, ochrypły głos z izby zagada.
— »Kto? Podróżny«, Perłowicz na to odpowiada.
— »A któż to taki do mnie przyjść rozkazał tobie?«

— »Rozkazał? widzisz! ja sam rozkazałem sobie«.

— »Sam? Zasuwa skrzypnęła i drzwi się szeroko
Rozwarły i Perłowicz spojrzał oko w oko
Góralowi lat średnich, wcale niewielkiemu,
Ale zato, jak niedźwiedź, nader barczystemu.

Gazda dziwnie na gościa spoglądał się bokiem
Wyłupiastem, jaszczurczem, zielonawem okiem,
I uśmiechał się gębą szeroką, nabrzmiałą,
Z miną lekceważącą gościa i zuchwałą.

— »Skądże to idziesz, zuchu, taki utrudzony?«
— »Z Niżniej Szczawnicy, niechaj będzie pochwalony!«
— »Z daleka się wybrałeś, siadaj no na ławie,
Cóż cię do nas przywiodło?« zapyta ciekawie.



Myśli Perłowicz w duszy: »Tyś zbój widać, człecze?
Nie chcesz Boga pochwalić?« A głośno odrzecze:
— »Po próżniaka nie szedłbym taki kawał drogi
Jeszcze przez gąszcze, środkiem takiej puszczy srogiej,
Odludnej; mam ja tutaj w Tatrach swoją sprawę«...

Gazda rzucił na gościa spojrzenie ciekawe
I przestał się uśmiechać, a uważnie zato
Poglądał na młodzieńca postać zuchowatą,
Który też po świetlicy rozglądał się śmiało:
Taka była, jak wszystkie, zwane izbą »białą«;
Ławy, stół, piec i łóżko, no i na tem kwita.

Po namyśle tak gazda Perłowicza spyta:
— »Idziesz do króla? czemuż nie mówisz dlaczego
I po co idziesz? kto cię posyła do niego?
Wiesz przecie, że inaczej ja ciebie nie mogę
W żaden sposób od siebie puścić w dalszą drogę«.

— »O to dobre! »nie mogę!« a wy to nie wiecie,
Że jeśli nie możecie puścić, to... musicie!?«
Tak Perłowicz do gazdy rzecze zdziwionego,
»Bo mam ochotę aż do króla pójść samego!«

— »A to nie nudź«, odpowie na to gazda z mocą,
Ale mów, kto cię tutaj posyła i po co?«

— »Jeszcze raz wam powtarzam skoro wiedzieć chcecie,
Że przychodzę tu z mojej własnej woli przecie.
A kiedyście ciekawi, czemu? tak koniecznie,
No, to wam tak odpowiem na to ostatecznie:
Że już mi się sprzykrzyło patrzeć na niedolę
I krzywdę ludzką i na Wężową swawolę.
Więc przychodzę z paliczką moją osikową
Wyścigać stąd krolewską Jego Mość Wężową,
A z nią, jego rycerze, smoki i poczwary...
Rozumiecie?«
Tu gazda — gdyby puhacz stary
Nachmurzył się i pocznie mówić z miną srogą:
— »Hm... ażeby módz skądeś precz wyścigać kogo,
To trza go wprzód zmocować?...« I znów nasępiony
Pyta: — »Jakaż cię siła przywiodła w te strony?
— »Jaka siła?... Me własne oczy przez te drogi
Mnie wiodły, a przyniosły moje własne nogi«.

— »No — a jakąż ty bronią myślisz ze wszystkiemi
Siłami i mocami walczyć tatrzańskiemi?«...

— »Ja... co bądź w garść ułapię, to tem będę walić...
Popatrzcie ino, bo cóż napróżno się chwalić«...
I w tem ręką stół dźwignął i... uniósł wysoko...
A gazda całą gębą zaśmiał się szeroką:

— »A no, tak... prawda... widzę: siłacz z ciebie srogi.
Gotóweś stąd wypędzić wszystkich... co do nogi!?
Lecz widzisz: wprzód się musisz popróbować ze mną,
Bo ja tutaj straż trzymam.. i wszystko daremno —
Jeżeli »mnie« nie zmożesz. — Kto »mnie« nie obali,
Ten — ani krokiem z miejsca nie ruszy się dalej«.

— »A więc dobrze; bijmy się!«.. — rzecze wstając z ławy
Młodzian, dzierżąc paliczkę krzepko w ręce prawej.

— »Czekaj zuchu; w gorącej wodzieś ty kąpany...
Ktoby się tam bił w izbie?... pójdziem na polany
Mocować się, lecz wprzódby podjeść ci się zdało?...
Bo o głodzie mdły człowiek i sił ma zbyt mało«...
I przeze drzwi kobiecie rzuci zapytanie:
— »Hej, ty ropucho!... co tam warzysz na śniadanie?«..

— »Barani przodek«... – głos się ozwie wystraszony
Z czarnej izby, a na to gazda zasępiony
Odezwie się: — »Nastaw-no czarownico stara
Jeszcze grochu ze sperką, do starego gara...
A nim się zwarzy tej tam trochę baraniny,
Dawaj placków, patanki, bryndzy i słoniny...
Słyszysz?«..
Kobieta wniosła co jej kazał gazda...
Przysunęli się obaj do stołu i... jazda:
Młodzian nie tknął patanki, nigdy jej nie pijał,
Ale porządnie głodny — gdyby wilk — zawijał
Placki z bryndzą — zachęty wcale nie czekając,
O tem, owem — wesoło z gazdą rozmawiając.
— »A jakoż się siłaczu twojo imię zowie?...
Pytał gazda.
— »Perłowicz« — młodzian mu odpowie
I nawzajem zapyta: — »A wasze przezwisko?«..
Na to gazda: — »Wołoszyn, moje imionisko.

Groch — widać późno bardzo musiał być zbierany...
Bo się barz długo warzył — nim był zgotowany.
Ledwie o południowej porze pośniadali
Gazda z gościem; a kiedy od jedzenia wstali,
Rzekł Wołoszyn: — »No, bracie, gdyśmy pokrzepili
Siły nasze, chodź ze mną, będziemy się bili.



I szedł przodem... Perłowicz zaraz za nim rusza.
Wtem owa kobiecina, dobra widać dusza —
Zdążyła w czarnej izbie szepnąć mu do ucha:
— »Uciekaj — pókiś cały — bo to smok, psia jucha!«...



(Ciąg dalszy nastąpi).

Podziękował...

(Obrazek z bojów Napoleońskich).

W posępny dzień 29 listopada 1808 zatrzymała się armia wielkiego Napoleona na ziemi hiszpańskiej u stóp potężnego łańcucha gór Sierra Guadarama,*) zagradzającego drogę do Madrytu, stolicy Hiszpanii. Jedyna droga, prowadząca przez to dzikie, skaliste pasmo, to wąwóz Somo-Sierra. A w wąwozie przyczaiła się za armatami hiszpańskiemi śmierć, i ostrzy pilnie kosę na jutrzejsze obfite żniwo. Mroźny wiatr północny, wiejący od gór Pirenejów, ziębi żołnierzy, to też ten i ów, nie usiłując nawet rozpalić ogniska, owija się płaszczem i znużony długim marszem zasypia snem twardym, może już raz ostatni. Trzeci szwadron polskich szwoleżerów,**) co pełnił wówczas służbę przy cesarzu zaszczytną, jako jego gwardya przyboczna, rozłożył się opodal od wejścia do wąwozu. Żołnierze czuwają, bo im spać nie wolno. — Wiatr wyje na rozmaite głosy, to zawodzi jak potępieniec, to jakby na trąbce pobudkę bojową wygrywał; w takich chwilach niejeden z drzemiących wiarusów zrywa się, sądząc, że to trąbka na koń wzywa, a przekonany, że to złudzenie, zaklnie cicho, przeciągnie skostniałe członki i znów w drzemotę zapada.

Nieco na boku, obok drogi, leży sobie szwoleżer, Stach Rokita, z lulką w zębach. Oparł głowę o grzbiet spiącego konia i marzy, w ciemność zapatrzony. Jemu nie zimno, bo krew go grzeje, grzeje go nadzieja, że ten, co ich jutro tam w tę czeluść piekielną powiedzie, za rok, za dwa, może prędzej, ojczyznę wolną odda — tę dawną, od morza do morza. Ta nadzieja wyrwała go z pod strzechy ojcowskiej i kazała iść na żywot tułaczy, na dolę twardą, ale sławy pełną.

Hej! mocny Boże! Co też tam robią w tej chwili tam nad Wisłą, sędziwy ojciec i matka nieboga, co go, jedynaka, wypieściła, wychuchała, myśląc, że jej stare lata osłodzi... Aż tu wydarł go jej ten »Napolijon« i pognał hen na zachód, słońcem swej chwały chłopaka oślepiwszy. I widzi żołnierz-tułacz w marzeniu dąbrowę zieloną i polanę z dębem starcem pośrodku. Bywało, legnie sobie w cieniu jego konarów i duma. Wietrzyk, w liściach olbrzyma grając, przynosi mu poszumy skrzydeł duchów, majestatu i grozy pełnych, co idą gdzieś w dal bezkresną, a jemu serce tęsknica rozrywa, on chciałby iść za tym duchów hufem, co wali hen naprzód, błyskając zbroi stalą, szczękając brzeszczotami... Hej! stójcie Duchy-Woje! Na jakież krwawe boje władna was wiedzie pani?! Wtem coś, jakby chmura, zasłania mu — bywało — ten obraz, ten wyczarowany Duchów korowód i serce chwyta w swe szpony bezbrzeżna za nimi tęsknota. Zniknęli. Ciemno w duszy, wietrzyk łzy gorzkie suszy! Hej! stójcie Duchy-Woje! Poszedłby ja hen z wami, hej! z wiernymi druhami, bo smutne życie moje! Tu same dziś mogiły, kurhanne głazy, czarnemi darniami się pokryły!

Cały w słuch zamieniony, wytęża wzrok w stronę widziadła czarownego, lecz tam pustka teraz — jakieś »Nic« beznadziejne, malujące się olbrzymiemi głoskami na czarnej ścianie boru. Tylko wietrzyk, szumiąc od tamtej strony, przynosi mu beznadziejną Duchów odpowiedź: Oj, nie możesz ty z nami, bo daleka, daleka nam droga, lepiej zostań, ptaszyno! A jego ból chwyta i płacz, więc duszą modli się do nich, jęcząc: Och, weźcie mnie, na Boga! Patrzcie, z oczu łzy płyną, idziecie w inny świat... Serce za wami rwie się, jak wichura po lesie, hej! poszedłbym ja rad!

*) czytaj Siera Gwadarama.

**) nazwa konnicy, wzięta z francuskiego.

I — bywało — ból wszystek, co mu w piersiach zebrał, zaskowyczał głosem skargi i zawiedzionej nadziei. Aż przyszedł czas, że spełniły się jego sny, korowód Wojów porwał go z sobą i przywiódł aż tu, na hiszpańską ziemię. I rozrzewnienie ogarnia wiarusa, łzę czuje pod powieką, ociera ją jednak szybko rękawem munduru, bo on nie takie łzy przywykł wylewać. Pociągnął lulkę trzymaną w zębach, ale ta zgasła tymczasem. »Zgasła psia jucha, ha, no! trudno, zgasła, to trza zapalić!« Wyjmuje krzesiwo, krzesze, ale darmo, bo hubka zamokła. »Co robić?« Markotno mu się zrobiło, bo do rana kawał, a i poczuł teraz, że ziąb zaczyna pełzać po plecach. »Choćby człek zęby rozgrzał, a tu masz!« mruczy. Wtem ujrzał opodal błyszczące światełko. »To pewnikiem ognisko; ale cóż, tam cesarz czuwa«, mówi do siebie. Lecz w tej samej chwili skrupuł ten zwyciężyła inna myśl: »To i cóż z tego, przecież mi węgielka nie poskąpi«. I przeciągnąwszy się i mundur uporządkowawszy, puścił się sprężystym krokiem w stronę, gdzie na placyku niewielkim, bezlistnemi drzewami okolonym, paliło się ognisko, miotane wiatrem. Obok na kłodzie siedział Napoleon, zapatrzony w trzymany w rękach plan strategiczny.*) Wokoło niego stali, poopierani o drzewa, jenerałowie, szefowie sztabowi, zapatrzeni w ognisko. Wtem miarowy krok, dudniący po kamienistej drodze, odwrócił głowy ich w stronę, gdzie po chwili z cienia wynurzyła się postać Stacha Rokity. Napoleon oderwał oczy od planu i utkwił je w twarzy wiarusa, jakby pytał niemi: »Co zacz? czego chce?« A Stach wyprostowany, wyciągnięty jak struna, prawą rękę przyłożywszy do czapki a w lewej trzymając zgaśniętą lulkę, jednym tchem recytuje łamanym francuskim językiem: »Wybaczcie Wasza Cesarska Mość, ale lulka zgasła, więc pozwólcie wiarusowi ognia!« — Skamienieli obecni z podziwu nad tą śmiałością szwoleżera, każdy utkwił niepewny wzrok w twarzy »boga wojny«, czekając, rychło z tych oczu stalowych padnie grom na głowę wiarusa. Lecz uśmiech, rzadki gość na twarzy cesarza, i skinienie głową było odpowiedzią na prośbę Rokity. On tymczasem podjął głowienkę, włożył do fajeczki, i pykając głośno, zapalił, poczem wyprostował się, zasalutował, odwrócił się na pięcie i zabierał do odwrotu.

Lecz jenerał Montbrun,*) położywszy mu rękę na ramieniu, zatrzymał go i przypomniał, że wypadałoby cesarzowi podziękować. Ten jednak żołnierz-tułacz, co uczył się etykiety*) nie na woskowanych salonach, lecz w ogniu bitew, spojrzał dumnie na jenerała i ręką na wąwóz wskazując, rzekł donośnie:

— Tam mu podziękuję! — i zasalutowawszy, odszedł.

A w oku Napoleona zamigotało na chwilę rozrzewnienie.

— — — — — — — — — — — — — —

Zajaśniał poranek 30 listopada, oświetlając czeluść Somo-Sierry, najeżoną paszczami dziesięciu dział, ziejących śmiercionośnym oddechem w szeregi piechoty, co na rozkaz cesarza pierwsza ruszyła do ataku; daremnie jednak, bo zdziesiątkowana kartaczami musiała się cofnąć. W tej chwili Kozietulski staje na czele trzeciego szwadronu szwoleżerów, do którego należy nasz Stach, i z okrzykiem: »Vive l'empereur!«*) rzuca się w czeluść piekielną, a za nim wali, jak burza, hufiec straceńców. Huk dział wstrzą-

*) wojenny.

*) czytaj Mąbrę.

*) sztuka zachowania się.

*) czytaj Wiw lamper, niech żyje cesarz!

snął powietrzem. Kozietulski, ugodzony kulą, pada, lecz kapitan Dziewanowski prowadzi szwadron dalej. Pędzą czwórkami, bo ciasnota wąwozu nie pozwalała rozwinąć się szerzej. Stach Rokita pędzi w trzeciej czwórce z zaciśniętemi zębami, drwiąc sobie z śmierci, pamiętny jeno, że tam cesarz patrzy, że winien mu wdzięczność za zaszczyt, jaki jego, Stacha Rokitę, wczoraj spotkał. Wtem zadzwoniło mu w uszach, coś kolnęło go w lewem płucu, koń potknął się na lawecie armaty i runął, przygniatając swym ciężarem wiarusa. Próbuje się podnieść, ale darmo, oczy przysłania mgła, z ust krew bucha strumieniem, plamiąc mundur i wokół ciepłą, dymiącą tworząc kałużę. — Pierwsza baterya zdobyta i oni, jego towarzysze, pognali dalej po sławę, zostawiając tu jego samego, jak tam niegdyś ów Duchów korowód, marzony na polanie pod dębem w ojczystej ziemi. Powoli traci świadomość tego, co się z nim dzieje, szum jakiś dochodzi go z oddali, stygnącemi ustami szepce: »En avant!*) Vive l'empereur!« Niech żyje! i śmierć-matula zamyka mu usta na wieki. Ale słowa danego wczoraj nie złamał, lecz podziękował za ogień krwią i życiem.

— — — — — — — — — — — — — —

Wąwóz zdobyty, droga do Madrytu otwarta, ale już dąb-patryarcha nie powita bohatera, nie spocznie tułacz w jego cieniu, jak niegdyś. Zimna, obca mogiła przytuli zwłoki bohatera a dąb-samotnik wygrywać będzie dzieje żołnierza-tułacza.

*) czytaj przez nos anawan, naprzód.

Władysław Sioło.

Zaczarowana laska.

Sporo lat już upłynęło od czasu, gdy w jednej miejscowości było dwóch gazdów, którzy mieszkali obok siebie, obaj w jednym dniu się pożenili i wraz oba po rodzicach objęli swoje gospodarstwa, dość piękne, obejmujące po 30 morgów gruntu. Jeden nazywał się Bartek Gwizdała a drugi Walenty Stopyra. Byli oni obaj uczciwi i pracowici, tylko ta jedna była pomiędzy nimi różnica, że o ile się lepiej powodziło Gwizdale, to o tyle gorzej Stopyrze, pomimo że pracował jak wół. Wskutek pracy skrzywił się, wyglądał jak szczepa, a tu, jak na przekor, coraz gorzej i gorzej mu się powodziło. Żona się gryzła, dzieci płakały, wszystko obdarte. Konie i bydło skóra i kości, które wiatr przewracał. Biedny człeczyna nie wiedział, czy to urok, czy jakie czary, czy też skaranie Boże.



Gwizdała zaś całkiem inaczej wyglądał. Tłusty, wyprostowany, konie miał ładne, bydło jak we dworze, stodoły pełne zboża a i w kabzie grosza było sporo.

Było to jednej niedzieli, gdy się nasi sąsiedzi obaj zeszli przy karczmie pod kościołem. Gwizdała zaprosił Stopyrę do karczmy na szklankę piwa i tak gadu gadu, od słowa do słowa, jak to zwykle przy szklance lub przy kieliszku bywa. Począł się Stopyra skarżyć i narzekać na swój los mówiąc:

— Wy, kumotrze, to jakoś nic nie robicie a dobrze wyglądacie i dobrze się wam powodzi.

Gwizdała wstał, czapkę poprawił i tak się doń odzywa:

— Ot, widzicie, kumotrze, ja mam taką zaczarowaną laskę, która za mnie wszystko robi.

Stopyra na te słowa aż na bok odskoczył, tak się zląkł owej laski.

— Nie bójcie się, kumotrze, tej laski; ja wam jej pożyczę na jeden rok, a przekonacie się o jej sile.

Stopyra wziął laskę do ręki, ogląda na wszystkie strony i nie może się nadziwować, że taki zwykły kij a taką ma moc w sobie.

— Laski wam pożyczę — mówił Gwizdała dalej — ale tylko pod tym warunkiem, że codzień z tą laską w ręku obejdziecie całe swoje gospodarstwo i po roku tutaj mi ją nazad oddacie.

— Zgoda! — wyjąknął Stopyra i wyszli z karczmy i każdy poszedł do swego domu. Stopyra trochę się bał tej laski, ale gdy przyszedł do domu postawił ją w kącie i wziął się do obiadu. Gdy się zrobił wieczór, poszedł spać, lecz nazajutrz wczas rano wstał, wziął tę laskę do garści i poszedł do koni.

Przychodzi do koni a parobek spi sobie w najlepsze. Zbudził go i poczęstował tą laską. Zagląda do krów, krowy chodzą samopas, nie powiązane, choć słońce już wysoko, dziewka chrapie sobie swobodnie, a krowy nie dojone. Hajże więc laską. Po drodze zagląda i do stodoły a świnie, kury i gęsi gospodarują w zbożu, za co gosposia oberwała laską.

Parobka wyprawił w pole siać żyto, namierzywszy cztery ćwierci. Po chwili udaje się w pole za parobkiem i spostrzega, jak ten dźwiga pół korca żyta w krzaki, aby schować żydowi na wódkę i tytoń.

Stopyra aż się za głowę chwycił i poznał, co to były za czary. Alež on sam sobie był winien, że nie doglądał, tylko sam pracował, a drudzy robili, co chcieli.

Rok dobiegał a gospodarstwo Stopyry całkiem inaczej wyglądało. Wszędzie widać było ład, porządek i zamożność, aż miło.

Gdy po roku znów zeszli się obaj sąsiedzi przed ową karczmą, Stopyra zaprosił Gwizdałę na poczęstne, laskę tak straszną dla niego przed rokiem, oddał i serdecznie za nią podziękował.

— Wiecie, kumotrze — rzekł wtedy Gwizdała — więcej znaczy porządek i dozór, niż najcięższa praca. Ta laska nie ma żadnych czarów, bo jest to zwykły kij, jak wszystkie inne. Słusznie mówi przysłowie: »Kijem tego, co nie pilnuje i nie dogląda swego«.

Jędrzej Czarnik.

Polskie Towarzystwo Emigracyjne.

Dnia 15 kwietnia odbyło się zwyczajne walne zgromadzenie członków Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego. Zebranie zagaił zasłużony prezes, poseł Dr. Jan Hupka. W mowie swej podniósł między innemi, że rok ubiegły był wielkim krokiem naprzód w rozwoju Towarzystwa i jeżeli — mówił — nam nie zabraknie sił i energii, by w tym samym organizacyjnym rozmachu, z niemniejszą niż dotąd ścisłością, sumiennością i nakładem pracy nadal wytrwać a nie folgować sobie wśród rozpoczynającego się powodzenia, to przy Bożej pomocy róść będzie wpływ naszej obywatelskiej instytucyi z każdym następnym rokiem i za lat niewiele może ujrzymy się blisko celu naszych dążeń, którym jest uzyskanie wpływu na cały ten wielki ruch robotniczy i wychodźczy, by nim w duchu katolickim i zgodnie z interesem kraju i obu — ten kraj zamieszkujących narodów — pokierować!

Zamykając ten trzeci rok naszej działalności słowami wiary w pomoc Bożą i zaufania w nasze siły, opieramy śmiałe na przyszłość nadzieje, nie w samym jednak liczebnym i materyalnym wzroście naszej działalności, dzięki któremu zdołaliśmy się rozszerzyć, nowe filie naszego Towarzystwa założyć, nowe wydawnictwa dla informacyi i pouczenia ludności zarobniczej przedsięwziąć i znaczną część deficytów lat poprzednich, dochodami ubiegłego roku pokryć. To wszystko uwalnia nas od ciężkiej do niedawna troski o materyalny byt Towarzystwa, daje pewną nadzieję pokrycia reszty dawnego deficytu dochodami bieżącego roku i spłacenia długów, zaciągniętych na kupno i urządzenie domu na przytułek dla wychodźców w przeciągu lat niewielu.

Podniósł dalej mowca, że pan namiestnik zezwolił Towarzystwu, mimo że jest tylko emigracyjnem, nietylko emigracyą po za ten kraj, ale i pośrednictwem pracy wewnątrz kraju się zajmować i rolnictwu naszemu krajowemu, w tem co dla jego ekonomicznego powodzenia jest bardzo ważnem, w dostarczeniu potrzebnych sił roboczych być pomocnymi. Nieuregulowane wychodźtwo pozbawia potrzebnych dla rolnictwa i początkującego przemysłu rąk roboczych. Temu zapobiegać, temu przeciwdziałać, do niedawna nie było wolno Towarzystwu. Obecnie, mając już i tę koncesyę, weszło Towarzystwo w porozumienie z delegatami krajowych Towarzystw i organizacyj rolniczych i wspólnie z nimi na dwóch odbytych konferencyach, ułożyło jednolite formularze kontraktów najmu pracy, oraz cenniki dla robotników sezonowych, także warunki najmu i regulamin pracy dla stałej służby folwarcznej. Na tej podstawie podjęło się Towarzystwo Emigracyjne dostarczania robotników sezonowych i czeladzi krajowym pracodawcom, na tej podstawie ma już możność odradzania ludziom wyjazdu na czas roboczy za granicę, o ile w kraju na niegorszych warunkach pracę im dać może. W ubiegłym roku dostarczyło Towarzystwo krajowym pracodawcom 1100 robotników. Wydział Towarzystwa ma nadzieję, że zamówień krajowych pracodawców będzie w następnym już czasie zamówień robotników znacznie więcej i że uda nam się potrzeby krajowego rolnictwa pod tym względem stale i w zupełności zaspakajać.

Wobec tego, że w Prusiech dzieje się naszemu robotnikowi stosunkowo najgorzej, że obok niewiększych zarobków doznaje tam gorszego niż gdzieindziej traktowania i ze strony pracodawców i ze strony władz, że tam robotnik nie ma zapewnionego zaspokojenia swych potrzeb religijnych, oświadczył prezes, że Towarzystwo nie przestanie wpływać w tym kierunku i namawiać każdego, by w pierwszym rzędzie przyjął pracę w kraju, o ile taką na równych, jak za granicą, warunkach dać mu można, zaś w przeciwnym razie, by przyjął wskazaną pracę przedewszystkiem w innych krajach austryackich, w braku zaś tejże raczej we Francyi, Szwajcaryi, Danii, Szwecyi, a w ostatnim dopiero rzędzie w Niemczech.

Zarząd Towarzystwa Emigracyjnego opracuje niebawem nowy statut. Statut ten pozwoli Towarzystwu z większym niż dotąd naciskiem domagać się i w wiedeńskich ministerstwach, by nas uznawano i traktowano nietylko jako rzeczoznawców emigracyjnych, ale i jako organ wyręczający państwo w tem, co jest jego obowiązkiem, a czego dotychczas nie spełnia, tj. w regulowaniu wychodźtwa i w organizowaniu opieki nad tutejszymi wychodźcami także na obczyznie.

Wyrazami uznania dla pracy naczelnego dyrektora, p. Okołowicza, zakończył prezes Hupka swe piękne i rzeczowe przemówienie, poczem dyrektor Okołowicz złożył imieniem dyrekcyi szczegółowe sprawozdanie, wykazując pod każdym względem pomyślne wyniki z trzechletniej dopiero a tak korzystnej i błogiej działalności duchem obywatelskim ożywionego naszego Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego.

Hej! ja to sobie jestem król!

Hej! ja to sobie jestem król!
Gór, lasów, łanów, łąk i pól.
W wschodniej królestwa granicy
Mam łan złocistej pszenicy,
W zachodniej stronie od słonka
Z owsem grzywiastym jest łąka.
Północ bór siny zakrywa,
Z południa rosną warzywa.

Hej! ja to sobie jestem król!
Wśród lasów łanów, łąk i ról,
Mam alfy, skierki, chochliki,
Żabki, chrząszczyki, koniki,
Mam koralowe biedronki,
Śpiewne słowiki, skowronki,
Innych mieszkańców tysiące
W mojem królestwie żyjące.

Królestwa mego krainę
Za niecaluśką godzinę,
Obejdę w koło wszerz i wzdłuż,
Opłynę morzem fali zbóż...
Które mi biją pokłony
Składają w dani swe plony..
Bukiety kwiatów bogate
Makiem, kąkolem, bławatem...

Hej! jam jest władca, król i pan!
Niczem car, sułtan, cesarz, han,
Królewska moja korona,
Ze złotych kłosów spleciona...
Potęgą siły drży mi dłoń...
Dyadem znoju... zdobi skroń...
Niczem dyamentów kamienie,
Co się skrzą zimnym promieniem...

Hej! ja to sobie jestem król!
Gór, lasów, łanów, łąk i pól,
Złocisto-srebrnych łanów zbóż,
Złotego słonka, gwiazd i zórz...
Złotych słonecznych jasnych dni...
Duszy, co srebrne sny mi śni,
Serca, co kocha... jako żar
Gorące, chłonie życia czar...

Jantek z Bugaja.

WYCHODŹCY.



A kiedy w domu zabraknie chleba, ten i ów musi jechać za morze, bo żyć każdemu na świecie trzeba... Tu ciężko było — tam Bóg pomoże — i może ulży w zbyt ciężkiej doli i grosz uskładać jaki pozwoli.

Sprzedał więc Semen swą skromną rolę, sprzedał sąsiadom i chatę rodną — porzucił drogie sercu Podole i smutno patrzy w przyszłość zawodną — i smutno patrzy na dzieci małe, bo to skarb jego i szczęście całe!

Ku stacyi dąży rodzina cała: więc mąż ze żoną i dziatek czworo... Wioska już rodna w tyle została, a tu do stacyi drogi dość sporo!... Dziecięta ledwo nogi już wleką, a tu tak jeszcze bardzo daleko.

Hej! ktoś tam jedzie z wioski siwkami!... Może choć trochę podwiezie dzieci! Spogląda matka na wóz ze łzami, na którym jedzie dwie pary kmieci; lecz wóz przejechał a oni pieszo dalej z swej wioski rodzinnej spieszą.

A oni idą na chleb tułaczy, za sine wody, gdzieś w obce kraje, nie wiedząc, czy kto z nich wieś zobaczy dzisiaj żegnaną i te ruczaje, co płyną wartko przez wiejskie błonie; i bujne zboże tu na zagonie.

A oni idą!... Nikt z nich nie zgadnie, co im w przyszłości Pan Bóg przeznaczy; co dla nich kryje przyszłość ta na dnie!... Idą na chleb ten ciężki tułaczy; idą w kraj świata wielki, daleki — może na zawsze... może na wieki!...

Żegnają ciche pola złociste; żegnają słońce świecące jasno; żegnają niebo wiejskie, przeczyste; żegnają wioskę na zawsze własną, co się rozsiadła przy cichym borze i idą smutni — smutni za morze...

A dziś nie wiedzą, co im wypadnie wśród obcych ludzi na obcej ziemi; ile łez z oczu rozpacznych spadnie za wioską swoją, za braćmi swemi, zanim grosz jaki pracą zdobędą, zanim kawałek chleba posiędą.

A dziś nie wiedzą, ile łez marnie wyleją, biedni, na obcej ziemi, jakie przechodzić będą męczarnie, zanim się praca w kęs chleba zmieni... A dziś nie wiedzą, czy przejdą troski, czy kiedy wrócą do swojej wioski.

Antoni St. Bassara.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XXVII.

Noc w Kominach. — Strzała Harberta. — Projekty Cyrusa. — Nieoczekiwane rozwiązanie. — Kto był w Pałacu Granitowym. — Nowy służący.

Cyrus zatrzymał się, nie wyrzekłszy ani słowa, a towarzysze jego zaczęli szukać drabiny po ciemku to na ziemi, to na ścianie, sądząc, że wiatr ją przesunął lub całkiem zrzucił. Wszelkie poszukiwania okazały się bezskutecznemi.

— Jeżeli to ma być żart, to całkiem niewłaściwy! — krzyknął Penkroff.

— Dziś nie było nawet wiatru — odezwał się Harbert.

— Uważam, że od pewnego czasu dzieją się tajemnicze rzeczy na naszej wyspie.

— Nie widzę w tem nic dziwnego — rzekł Gedeon. — Widać, że ktoś w naszej nieobecności do mieszkania wszedł i ściągnął za sobą drabinę.

— Ktoś! ale kim on jest ten ktoś?

— Zapewne myśliwym, z którego strzelby wypadło owo ziarnko śrutu, znalezione przez ciebie. To jedno przypuszczenie staje się prawdopodobnem.

— No, skoro tam ktoś jest — odpowiedział już zniecierpliwiony marynarz — to zawołajmy na niego, a przecie nam coś odpowie. — Mówiąc to, krzyknął głośno: Hop, hop!

Po małej chwili oczekiwania zdawało im się, że usłyszeli coś podobnego do szyderczego śmiechu.— Nikt jednak nie odpowiedział na kilka razy powtarzane wołanie Penkroffa.

Koloniści znajdowali się w takiem położeniu, że każdy, choćby drobny wypadek, musiał mieć dla nich ważne znaczenie, a cóż dopiero mówić o tym, jaki ich dziś spotykał. Stali przed Granitowym pałacem zdumieni, nie wiedząc, co myśleć i co czynić. Nie znajdowano odpowiedzi na wzajemne zapytania, a tym sposobem tworzono tysiączne niepodobne do prawdy przypuszczenia.

— Widzę, że nie zostaje nam nic innego do czynienia — odezwał się Cyrus — jak czekać cierpliwie, dopóki się nie rozwidni, a następnie dopiero działać stosownie do okoliczności. Teraz udajmy się do Kominów. Nie znajdziemy tam wprawdzie wieczerzy, ale spać będziemy mogli.

Oczywiście wszyscy w milczeniu poszli za radą Cyrusa. Rozkazano tylko Topowi zostać pod oknami Granitowego pałacu, więc położył się na wskazanem miejscu, nie bacząc na to, iż wszyscy oddalili się do Kominów.

Minęlibyśmy się z prawdą, utrzymując, że koloniści dobrze spali tej nocy. Nietylko że zaniepokoił ich mocno tak niespodziewany wypadek, że myśleli ciągle, jakie mogą być dalsze jego skutki, że pragnęli odgadnąć, czy mają o to oskarżać ludzi czy też prosty przypadek — lecz nadto leżeli na gołej ziemi z tą myślą, że może ktoś inny zajmuje ich wygodną siedzibę.

Dla kolonistów Granitowy pałac był nie mieszkaniem, lecz skarbcem, w którym złożyli najcenniejsze dla siebie rzeczy, jak broń, proch, naczynia, narzędzia i wszelkie zapasy żywności. Gdyby ktoś pozbawił ich tego, znaleźliby się w takiem samem położeniu, jak w pierwszych dniach pobytu na wyspie. Zaniepokojeni tą myślą wychodzili naprzemian, aby zobaczyć, czy Top nie opuścił swego stanowiska. Jedynie Cyrus czekał cierpliwie, choć był rozdrażniony, że nie umie rozwiązać tej zagadki, choć go oburzało, że wkoło niego dzieją się rzeczy, których zrozumieć nie może.

Jak tylko świtać zaczęło, koloniści wyszli na wybrzeże z bronią w ręku. Gdy pierwsze promienie wschodzącego słońca oświetliły granitowy pałac, przekonali się, że okna jego były, tak jak je zostawili, zasłonięte okienicami. Lecz mimowolny okrzyk wydarł się z ich piersi, gdy zobaczyli, że drzwi, które zamknęli wychodząc, były teraz otwarte. Nie mogli wątpić, że ktoś był w Granitowym pałacu.

Wyższa część drabiny pozostała na miejscu, lecz niższą podniesiono aż do progu, co dowodziło, że nieproszeni goście chcieli zapobiedz temu, aby ich kto nie zaszedł niespodzianie. Co to byli za ludzie i ilu ich tam było? Penkroff zaczął znów nawoływać potężnym swym głosem. Nie było odpowiedzi.

— A to niecnoty! — krzyknął marynarz. — Tak spokojnie śpią, jakby we własnym swym domu. Nuże! zbójcy, korsarze, bandyci!

Harbertowi przyszło na myśl, aby przywiązać do strzały długi sznurek, a następnie wystrzelić, celując pomiędzy pierwsze szczeble drabiny, podciągniętej do progu, a później, uchwyciwszy sznurek, pociągnąć drabinę do ziemi i tym sposobem przywrócić komunikacyę z Granitowym pałacem. Pomysł ten podobał się wszystkim, tem więcej, że wykonany zręcznie, musiał przynieść pożądany skutek. Szczęściem łuki i strzały złożono na skład w jednym z korytarzów w Kominach, również jak i kilkadziesiąt metrów cienkiego, lecz mocnego sznura. Penkroff wybrał starannie strzałę, przywiązał do niej sznur i oddał Harbertowi, który naciągnąwszy łuk, wycelował w koniec drabiny. Cyrus, Gedeon, Penkroff i Nab cofnęli się trochę, aby zobaczyć, czy się kto nie pokaże w oknach.

Strzała, świsnęła pociągając za sobą sznurek i przeleciała między ostatniemi szczeblami drabiny. Koloniści przyklasnęli, a Harbert pochwycił natychmiast za sznurek, lecz zaledwie nim wstrząsnął, aby zsunąć drabinę, jakaś ręka ukazała się w drzwiach i wciągnęła ją.

— A niegodziwcze! — krzyknął marynarz — zasłużyłeś, aby cię poczęstować kulką i nie długo będziesz na nią czekał.

— Któż to taki? — zapytał Nab.

— Jakto, nie poznałeś?

— Nie.

— Toż to szympans, goryl, pawian, orangutan, mandryl czy tam jakaś inna jeszcze małpa! Tak, w czasie naszej nieobecności małpy zakradły się do mieszkania.

Jednocześnie, jakby na potwierdzenie słów marynarza, cztery małpy odepchnęły okienice i ukazały się w oknach, wykrzywiając się najdziwaczniej na prawych właścicieli mieszkania.

— Wiedziałem dobrze, że to jakaś psota! — zawołał marynarz — ale przynajmniej jeden z psotników musi odpokutować za innych.

Mówiąc to, przyłożył do ramienia strzelbę, wycelował i strzelił. Jedna z małp, ugodzona śmiertelnie, wypadła przez okno, inne uciekły. Harbert odrazu oświadczył, że to orangutan.

— Trochę cierpliwości — rzekł Cyrus. — Te zwierzęta nie mogą długo tryumfować nad nami.

— Uwierzę wtenczas dopiero, gdy tak, jak ich towarzyszka, będą leżały na ziemi, bo obecnie pan nawet nie wiesz, ile tuzinów tych psotników dokazuje tam na górze.

Rzeczywiście trudno było na to odpowiedzieć. Spróbowano raz jeszcze pociągnąć za sznurek przywiązany do strzały, lecz zerwał się a drabina pozostała na miejscu.

Położenie kolonistów było kłopotliwe, bo cho ciaż nie wątpili, że wypędzą napastników i odzyskają swe mieszkanie, lecz nie wiedzieli kiedy i jakim sposobem.

— Ukryjmy się — rzekł inżynier — może, sądząc, żeśmy odeszli, pokażą się znowu. Trzeba, aby Spillet i Harbert zaczaili się za skałami i czekali, gdy się która wysunie.

Zastosowano się do rady inżyniera i gdy Harbert i reporter, jako najlepsi strzelcy, pozostali na czatach, inni udali się na polowanie do lasu, gdyż wszyscy byli głodni, a nie było żadnych zapasów żywności. Myśliwi powrócili w pół godziny, niosąc kilka gołębi skalnych, które Nab upiekł, zapaliwszy ognisko. Tymczasem żadna małpa się nie pokazała.

Gedeon i Harbert, odchodząc na śniadanie, zostawili Topa na straży; następnie wrócili na swoje stanowisko, gdzie znów przeszło dwie godziny oczekiwali na próżno. Małpy siedziały tak cicho, jakby ich tam wcale nie było. Koloniści domyślali się, że przerażone wystrzałami i śmiercią swego towarzysza, schroniły się gdzieś do kąta, lub też może dostały się aż do składu. To przypuszczenie natchnęło wszystkich najwyższym niepokojem. Trudno dziwić się temu, gdyż w tym składzie złożyli oni wszystkie swe skarby.

— Doprawdy, nasze położenie zaczyna być nieznośnem — rzekł zniecierpliwiony reporter — a nie widzę sposobu wydobycia się z niego.

— Jest jeden tylko! — zawołał inżynier. — Spróbujmy dostać się do Granitowego pałacu przez dawny upust od strony jeziora.

— A do miliona okrętów! — wykrzyknął marynarz — że też dotąd nie pomyśleliśmy o tem.



Jedna z małp wypadła oknem.

Rzeczywiście był to jedyny sposób wejścia do Granitowego pałacu i wypędzenia z niego nieproszonych gości. Wprawdzie trzeba było rozwalić mur, zasłaniający dawny otwór, lecz to nie mogło ich powstrzymać, gdyż wiedzieli, że naprawić go potrafią. Szczęściem także, że inżynier nie doprowadził jeszcze do skutku zamierzonego zalania go wodą — gdyż w takim razie nie mogliby tak prędko dostać się do niego.

Było już po dwunastej, gdy koloniści, wyszedłszy z Kominów z motykami i żelaznymi drągami, przechodzili przed oknami Granitowego pałacu. Pozostawiwszy na straży Topa, podążyli dalej, aby się dostać na płaszczyznę. Zaledwie skręcili na skały, Top zaczął ujadać tak gwałtownie, jakby ich wzywał na ratunek.

— Wracajmy jak najprędzej! — wołał Penkroff.

Wszyscy zaczęli biedz, co sił starczyło i przekonali się wkrótce, że położenie całkiem się zmieniło. Małpy, widocznie czemś przestraszone, usiłowały uciekać, przeskakiwały żwawo od okna do okna, kręciły się tu i owdzie, nie wiedząc, jak się na wolność wydobyć. Widać, że w przerażeniu zapomniały zupełnie o drabinie i nie pomyślały nawet, że jak po niej weszły, tak i wyjść mogłyby z łatwością. Wkrótce kilka tak się wysunęło, że koloniści mogli strzelać do nich na pewno; ranione lub zabite spadały do pokojów lub na zewnątrz. Następnie wszystko się uspokoiło i można było wnosić, że w Granitowym pałacu nie było już ani jednej żywej małpy.

— Wiwat! — wykrzyknął Penkroff — wiwat! wiwat!

— Jeszcze zawczesne twoje okrzyki — rzekł Gedeon.

— Dlaczego? wszak zabiliśmy wszystkie.

— Być może, lecz mimo to nie możemy wejść do mieszkania.

— Chodźmy do upustu!

— Tak, chodźmy — rzekł inżynier — wolałbym jednak..

Nie dokończył, gdyż w tej chwili drabina zaczęła się poruszać, a następnie zsunęła się aż do ziemi.

— A! do tysiaca fajek! — zawołał Penkroff, spoglądając na towarzyszów. — To znów coś nowego.

— Tego już nadto! — rzekł do siebie Cyrus i pierwszy zaczął wchodzić po drabinie.

— Ostrożnie, panie Cyrus — woła Penkroff — może tam są jeszcze małpy.

— Zaraz się o tem przekonamy — odpowiedział inżynier, idąc dalej.

Towarzysze pospieszyli za nim i w parę minut później byli już w mieszkaniu.

Rozpoczęto poszukiwania. Tak w pokojach, jak w składzie, gdzie wszystko znaleźli w porządku, nie było nikogo.

— Wszystko to dobrze — rzekł marynarz — ale chciałbym wiedzieć, gdzie się podział uprzejmy człowiek, który nam spuścił drabinę?

Prawie jednocześnie odezwał sie w korytarzu jakiś krzyk, a niebawem wpadła do sali wielka małpa ścigana przez Naba.

— A, jesteś rozbójniku. — zawołał Penkroff.

Porwał siekierę i chciał uderzyć, lecz inżynier zatrzymał go, mówiąc:

— Nie zabijaj, Penkroffie.

— Jakto? mam darować życie rabusiowi?

— Tak, przecie to on spuścił nam drabinę.

Inżynier powiedział to tak dziwnym głosem, że trudno było poznać, czy to mówi na seryo, czy też żartem. Wszyscy rzucili się na małpę, powalili ją na ziemię i związali, choć broniła się dzielnie.

— Przecie! — rzekł Penkroff — ale cóż my z nią teraz zrobimy?

— Będzie naszym służącym — odpowiedział Harbert.

Młody naturalista, mówiąc to, nie żartował, gdyż wiedział, że te małpy można nauczyć wykonywania różnych posług.

— Silny i pięknie zbudowany — rzekł Penkroff — i ma tak roztropną minę, że gdybyśmy jego językiem umieli mówić, możnaby się z nim rozmawiać.

— Czy naprawdę pan myśli przyjąć go do służby? — zapytał Nab inżyniera.

— Tak, Nabie, ale nie lękaj się, będzie tylko twoim pomocnikiem.

— Sądzę, że będzie zręcznym do usług, a że wydaje się młodym jeszcze, łatwo go będzie obłaskawić bez użycia gwałtownych środków.

Zbliżył się potem do orangutana i rzekł:

— Cóż kochanku, dobrze ci tutaj?

Oragutan odpowiedział mruknięciem, nie objawiając dobrego humoru.

— Chcesz więc przyłączyć się do naszej kolonii, wejść w służbę do pana Cyrusa?

Małpa mruknęła powtórnie.

— I nie wymagasz innego wynagrodzenia nad dostateczną ilość żywności?

Trzecie mruknięcie orangutana.

— Zdaje się, że nie jest bardzo rozmownym — powiedział Gedeon.

— Tem lepiej! — zawołał Penkroff. — Małomowni służący są zwykle najlepsi. Zresztą ten nie wymaga zasług.

— Czy słyszysz kochanku? Z początku nie dostaniesz żadnych zasług, ale później jeśli na to zasłużysz, damy ci dwa razy tyle.

Tym to sposobem przybył do Granitowego pałacu nowy mieszkaniec, który miał w przyszłości oddać niejednę przysługę kolonistom. Teraz trzeba jeszcze nadać mu jakie nazwisko i, stosownie do życzenia Penkroffa, został nazwany Jowiszem, a przez skrócenie Jowem, gdyż tak nazywała się małpa, którą marynarz kiedyś bardzo lubił.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Dumania Kuby.



Siod se Kuba han na kłodzie
i zadumał straśnie...
Cemu ptaski jesce w chłodzie
lecą do nas właśnie?
Duma — patrzy — tu skowronki,
kosy i jaskółki,
Bocki z carnemi ogonki
lecą i kukułki.
Patrzy znowu, duma setnie...
Cemu one spiesą?
Cemu cisły kraje letnie
i tutok sie ciesą?
A tu Jantek, Józwa, Bask-,
Cencelijo i Menderek,
Rajna, Magda, Franek, Kaśka
i ten krzywy nas Norberek
odleciały kajś do Prusa
na rozpuste, fraśki...
W Kubie jękła polska dusa —
zal mu beło Kaśki.
Oj bo więcej te ptascta
ojcyznę kochają,
jak te chłopcy i dziewcęta,
ze tak uciekają...
Serce w nim zaskowycało,
ustami coś sepce...
Ciurkiem z ocu mu kapało,
łzy zalały ślepce...

Michał Mikoś.



Myślałem, ze juz całkiem ludziska o mnie zabacyli, a tu tymcasem dostaję takie urocyste pisanie:

Kochany Maciuś! Mam do Ciebie gruby i ważny interes. Wiem, że z Ciebie jest wielki študer, dlatego proszę Cię, żebyś mi odpowiedział, czy mię szczęście czy nieszczęście spotkało, że mi wypadło kumotrów szukać. Trzebaby koniecznie porządnych ludzi, a tu teraz o takich trudno. Kiedy tak chodzę i trapię się, baba mi powiada:

— Poprosiłbyś Maćka Bzdurę, On ta nie będzie od tego, a porządniejszego kuma nie wyszukasz.

— Dobrze — myślę sobie i zaraz biorę wszystko naczynie potrzebne do pisania i moją prośbę, na jaką się zdobyć mogę, szlę do Ciebie. Proszę Cię, Drogi Maciuś, nie odmawiaj mojej prośbie, tylko odtąd zostaj moim kumem. Mam nadzieję, że mi nie odmówisz. Gorszy interes z kumoską. Ja jeszcze nigdzie nic nie mówił, a tu się skądsi baby dowiedziały, i ani drzwi zaprzeć nie dadzą, tylko się pakują i wszystkie się za kumoski wmawiają, czy żeniate czy nie żeniate, a wszystko to z tego powodu że się dowiedziały, żem Ciebie prosił za kuma. Ja z jednej strony nie mam na tem straty, bo wiesz, Maciuś, że teraz tacy grubsi gospodarze, już świnie podusili, a taka żeniata baba, jak się gdzie chłop wychyli z domu, to buch do komory, upali kawał połęci, fajt pod zapaskę i przywlecze do mnie, a to z tej racyi, żeby kumoszczyła. To się też uganiało tego świńskiego cielska cała kupa. Ale z drugiej strony mam z tem wielki kłopot, że żadnej babie nie śmiem odmówić tej uroczystości, której ona sobie życzy, bo jak? ta dobra i tamta dobra, ta przyniosła i tamta przyniosła. Więc ja sobie tak umyślił: Gdy Ty, Kumie-Maciusiu, przyjedziesz, to one się ta wszystkie pozlatują, a ja je wszystkie poustawiam w izbie, ile się zmieści, a co się nie zmieści w izbie, to w sieni, a Ty sobie dopiero sam wybierzesz do gustu kumoskę.

Wkońcu proszę Cię, Maciuś, weź to moje zaproszenie i idź do redakcyi »Roli«, poproś tych panów, co »Rolę« drukują, żeby to zaproszenie wydrukowali, ażeby wszyscy czytelnicy »Roli« poszli za moim przykładem. Do widzenia Maciuś!

Czytelnik »Roli« ze Strojcowa.

Jagem dostał to pisanie, posedem zaraz do gazeciarzy i prosiłem, aby to wydurkowali. Z pocątku krzywo patrzyli, ze mnie a nie ich taki zascyt spotkał, ale ze to ludzie ućciwe, więc się udobruchali i pedzieli, ze to wszyćko wydurkują. A zeby się to choć mieli cego gniwać? Kumoterstwa się jem zachciwa, a pytanie, cyby potrafili kumować! Trza przecie umieć jegomości odpedzieć i »Wierzę« zmówić a to z miastowych nie kuzden potrafi. Co insego chłop — z Bogiem od maleńkości wychowany, to sobie da radę.

Z TYGODNIA.

Marszałek Badeni. Potwierdza się, że marszałek krajowy ustąpi, nie stanie się to jednak już w najbliższym czasie.

Delegacye wspólne austryackie i węgierskie zbierają się dnia 30 kwietnia. Wspólny rząd przedłoży im 6 miesięczne prowizoryum budżetowe.

Polacy u Ojca św. W wielki wtorek Ojciec św. przyjmował liczną grupę Polaków z Królestwa Polskiego w liczbie około 20 i około 30 osób z Galicyi. Deputacye te przedstawiał Ojcu św. jeden z szambelanów tajnych który w tym czasie bawi w Rzymie i spełnia swoje czynności w Watykanie.

Parlament austryacki a ucisk Chorwatów. W parlamencie austryackim wniesiono interpelacyę z powodu zawieszenia przez rząd węgierski konstytucyi w Chorwacyi. Odpowiedź na interpelacyę, wygłoszona przez prezydenta gabinetu hr. Stürgka, musi wywołać szczere zadowolenie nietylko u Słowian południowych, ale w całej monarchii. To co się dzieje obecnie w Chorwacyi jest poprostu naśladownictwem praktyk rządów despotycznych a przedewszystkiem rosyjskiego. To też uroczyste stwierdzenie przez prezesa austryackiego gabinetu, że nie zgadza się z polityką rządu węgierskiego, powitali wszyscy z uznaniem, gdyż zawieszenie swobód obywatelskich w którejkolwiek części monarchii tylko dlatego, że prawowita reprezentacya tego kraju pozostaje w opozycyi, do rzadu jest jaskrawem nadużyciem.

Upadek gabinetu węgierskiego. Prezydent gabinetu węgierskiego, hr. Khuen Hedervary, podał się do dymisyi, którą cesarz przyjął. Prezydentem został dotychczasowy minister skarbu Lukacs. Zawieszenie konstytucyi w Chorwacyi stało się powodem upadku hr. Khuena.

Rumuni przeciwko Rusinom. W Czerniowcach, na Bukowinie, odbył się wiec Rumunów w sprawach kościelnych. Rumuni protestowali przeciwko postępowaniu Rusinów, którzyby chcieli zająć wszystkie wyższe stanowiska w bukowińskim kościele obrządku wschodniego, do którego należą i Rumuni i Rusini.

Z wojny włosko-tureckiej. Włochy, którym dokuczyła dotychczasowa walka w Trypolitanii, nie przynosząca żadnej prawie szkody Turkom, postanowiły przenieść ją bliżej stolicy Turcyi, Konstantynopola. Po niedawnem ostrzeliwaniu Beyrutu, na wybrzeżu syryjskiem, przyszła kolej na cieśninę morską Dardanele, leżącą między Małą Azyą a Europą. Ograniczyło się ono jednak do wyrzucenia kilkuset pocisków, które nie wyrządziły Turkom szkody. — Okręty wojenne włoskie przecięły tylko przewody telegraficzne, znajdujące się w wodzie a łączące Konstantynopol z wybrzeżami Małej Azyi. Na wodach tureckich zaczęły pancerniki włoskie ostrzeliwać wyspy będące pod władzą Turcyi. Zdaje się, że Włochy podejmą stanowcze kroki na tem nowem polu walki, która przez to wejdzie w nowy okres.

Smutne cyfry. W parlamencie francuskim wniesiono sprawozdanie o zatrważającym postępie alkoholizmu we Francyi. Od 30 lat używanie napojów spirytusowych wzrosło w czwórnasób, tak że dziś Francya liczy 486.000 szynków, co przy 39 milionowej ludności wynosi średnio jeden szynk na 80 osób. Wraz ze zwiększonem użyciem alkoholu wzrasta i liczba zbrodni. W r. 1880 zanotowano ich 139, w r. 1910 zaś 459, a liczba obłąkanych za powyższy okres czasu z 11.000 podskoczyła do 75.000, co wynosi dwóch obłąkanych na każdy 1000 mieszkańców, śmiertelność zaś dzieci w pierwszym roku wskutek nałogu rodziców wynosi 15 na każdy 1000 urodzonych dzieci.

KRONIKA.

Od redakcyi. Na liczne zapytania odpowiadamy, że nowi prenumeratorzy po dosłaniu 1 korony mogą otrzymać numera z pierwszego kwartału t. j. od 1 stycznia do 1 kwietnia.

Również zawiadamiamy, iż posiadamy jeszcze okładki na 1912 r. po 50 h., kilkanaście oprawnych roczników »Roli« z 1910 r. po 4 kor., kilka oprawnych roczników »Roli« z 1911 r., na grubym papierze, po 6 kor., oraz pewną ilość oprawnych półroczników »Roli« z 1911 r., stanowiących zupełną dla siebie całość, po 2 kor. 50 h.

Zaćmienie słońca. Ziemia obraca się około słońca a około ziemi zaś księżyc. W tem ustawicznem krążeniu co lat kilkadziesiąt lub kilkanaście zdarza się, że księżyc znajdzie się na pewien czas między słońcem a ziemią, zakryje część tarczy słonecznej i to się nazywa zaćmieniem słońca. Jeśli jest dzień pogodny, słońce z odcinkiem czarnym z boku widzieć można wybornie przez zadymione szkło. — Dnia 17 b. m. było takie zaćmienie słońca. Rozpoczęło się o godz. 12 minut 15 w południe i trwało do godz. 2 minut 53. O godz. 12·15 zauważyć było można na południowo-zachodniej stronie tarczy słonecznej ciemną plamę w formie odcinka koła. Plama powoli zwiększała się i posuwała ku północno-wschodniemu brzegowi tarczy słonecznej. O godz. 12·40 widać było całkiem dokładnie czarny rąbek cienia tarczy księżycowej, zaciemniający krąg słońca. O godzinie 12·45 tarcza słoneczna przedstawiała kształt księżyca w ostatniej kwadrze. O godz. 1.10 zauważyć się już dało znaczne osłabienie światła słonecznego. Tarcza słoneczna więcej niż w połowie była zakryta. W miarę tego, jak zbliżał się najwyższy stopień zaćmienia, ubytek stawał się coraz większym. Mimo pięknej pogody, w chwili największego zaćmienia, o godz. pół do 2, mrok padł na ziemię

W Paryżu zaćmienie słońca było całkowite. Oglądano je doskonale przy jasnem niebie. Przez kilka minut panowały zupełne ciemności. W jednej dzielnicy miasta musiano zaświecić lamy.

Karność wojskowa. Surowa karność wojskowa omal że nie stała się przyczyną nieszczęścia. Żołnierz, Bośniak, nie rozumiejący po niemiecku nic prócz komendy, stał na warcie w Burgu (pałacu cesarskim) w Wiedniu.



Gdy nadjeżdżający piaskarz na jego trzykrotne »Wer da?« tłumaczył mu po niemiecku, że polecono mu wysypać piaskiem chodniki i jechał dalej, żołnierz zmierzył do niego i byłby strzelił, gdyby nie szybkie wdanie się policyanta, który w ostatniej chwili spostrzegł, jakie niebezpieczeństwo grozi piaskarzowi.

(W. T.) **Śniegi i mrozy.** Na Podhalu, pomimo pory wiosennej, przez dwa tygodnie panowały zamiecie śnieżne, mrozy, a śnieg leżał gruby na pół metra prawie.

(J. C.) **Zima w kwietniu.** Od 2 kwietnia powróciła do nas w powiecie strzyżowskim i okolicy zima w całej pełni. Dnia 2 i 3 kwietnia śnieg pokrył białym płaszczem ziemię na kilka cali grubo, a 4 kwietnia silny mróz parostopniowy ścisnął ziemię tak, że na wodzie utworzył się dość gruby lód i niejednemu dokuczliwie dał się we znaki. Dnia 7 kwietnia, w samą wielką niedzielę, popołudniu, od strony zachodniej, nadciągnęła chmura z grzmotem i błyskawicą i przeciągła ponad Nową wsią a zaraz potem począł sypać śnieg tak obficie, że pokrył na dwa centymetry ziemię. Przytem woda na Wisłoku się podnosiła, aż miejscami wystąpiła z brzegów. — Dnia 8 i 9 kwietnia powietrze nieco ociepliło się; 13 kwietnia zaś spadł śnieg i pokrył ziemię całą, a 14 był silny mróz. Temu wszystkiemu towarzyszyły silne wiatry, które dużo drzew powyrywały z korzeniami i uszkodziły domy.

(J. K.) **Ku czci wieszcza.** Młodzież gimnazyalna w Brodach urządziła w pięknej sali Sokoła uroczysty wieczór ku czci Zygmunta Krasińskiego. Wykonanie programu, na który złożyły się śpiewy, deklamacye, muzyka, przemówienie i odegranie pewnych scen z poematu „Irydion", trwało prawie 5 godzin. Publiczność wysłuchała całości z zajęciem i nie szczędziła też młodym wykonawcom hucznych oklasków.

Uroczystości Krasińskiego. Z Polnej, pow. grybowski, piszą nam: Celem oddania czci i hołdu jednemu z największych naszych wieszczów Zygmuntowi Krasińskiemu, jako w setną rocznicę jego urodzin, urządziło tutejsze grono nauczycielskie w dniu 21 kwietnia uroczysty wieczorek, program którego wypełniły: Słowo wstępne, wypowiedziane przez kierownika szkoły p. W. Pierzchałę; Odczyt, wygłoszony przez p. J. Migacza, nauczyciela z N. Sącza; Deklamacye i śpiewy patryotyczne a wkońcu obrazek sceniczny p. t.: »Ziemia ojczysta«, wykonany przez dziatwę szkolną. Szczególniejszą uwagę zwracały deklamacye, to też publiczność nie szczędziła hucznych oklasków dla dziewcząt: Maryi Pierzchały, Waleryi Jerzakównej i Stefanii Nowakównej, które je wygłaszały. Obrazek wypadł bardzo dobrze a role grane przez ucznia Migacza Leona, Stefanię Nowakównę, Maryę Pierzchałównę i Anielę Dziedzicównę, oddane były świetnie. Ze smutkiem tylko zaznaczyć należy, że oprócz kilku zaledwie gospodarzy reszta na uroczystość nie przybyła. Ale młodsze pokolenie i kobiety dopisały należycie.

Z Niebylca, w powiecie strzyżowskim, pisze nam jeden z czytelników: Za usilnem staraniem i pod przewodnictwem nauczyciela, Teofila Tryczyńskiego, odbył się u nas w dniach 8 i 14 kwietnia, na pamiątkę setnej rocznicy urodzin nieśmiertelnego wieszcza Z. Krasińskiego, uroczysty wieczorek. Program stanowiły pieśni patryotyczne, wykonane przez chór mieszany; podniosły odczyt okolicznościowy, wygłoszony przez Stanisława Chłodnickiego, i dwie sztuczki p. t.: »Jasiek sierota« i »Żniwo Kościuszki«. — Jako wybitne amatorskie siły w »Jaśku sierocie« wystąpili: Jan Gustowski jako Wojciech Złocień, Tekla Mindurska jako Złocieniowa, Zofia Chłodnicka jako córka, Roman Gornicki jako syn i Władysław Szelewa jako sierota, wychowanek Złocieniów. Inni, tj. Henryk Wilusz, Stefan Nieużytek i Leokadya Wojcikówna dostroili się do całości. W podniosłej sztuce »Żniwo Kościuszki« jako wybitni amatorzy odznaczyli się: Władysław Mazur jako Stach, Józefa Wróblówna jako Magda jego żona, Władysław Szelewa jako Bartek ich syn, Lucyna Gołdówna jako Basia ich córka, Jan Kuśtek jako Józek ich syn i Józefa Tryczyńska jako ich córka. Dziarskim jako kosynier był Roman Górnicki, a inni t. j.: Władysław Cop, Bronisław Walus, Stefan Nieużytek, Maciej Knaź, i Tadeusz Chłodnicki usiłowali mu dorównać. Zamaszystymi byli również: Henryk Wilusz jako wachmistrz strzelców, Michał Patys jako strzelec i Leon Dobrowolski jako rosyjski szpieg. Całość wywarła podniosłe wrażenie a licznie zebrana publiczność, za przykładem młodocianych amatorów, owładnięta silnem uczuciem patryotycznem, rozrzewniona do łez, opuściła lokal.

(J. K.) **Powódź.** Straszna śnieżyca, która nawiedziła w wielkim tygodniu wschodnią połać Galicyi, jakoteż następne śniegi i deszcze, stały się przyczyną, że w Busku wylała Pełtew i Bug, zalewając kilkaset morgów pola i łąk. W wielu domach stała woda na pół metra wysoko. Chcąc się dostać z domu do kościoła, trzeba było przeprawiać się czółnem. Szkody ogromne. Mosty pozrywane. Busk, zupełnie zalany wodą. Najstarsi ludzie nie pamiętają takiej powodzi. Pełtew wylała o 5 metrów ponad stan normalny. W pracach na polach i ogrodach zastój. Ludność poczytuje to zrządzenie za karę Bożą.

(J. K.) **Walne Zgromadzenie Sokoła.** Dnia 14 kwietnia odbyło się w Olesku walne zgromadzenie Sokoła, który liczy 50 członków, a choć kroczy pomału, jednak ciągle naprzód. Mała nas garstka wobec nawału Rusinów, dzielnie musi się trzymać, aby zaznaczyć, że żyje. To też Sokół, o ile mu siły starczą, urządza festyny, obchody narodowe, ćwiczenia dla dzieci i starszych, jeździ do innych gniazd i założył Sokoła w Uszni, o czem pisaliśmy w nrze 45 »Roli« ubiegłego roku. Po zamknięciu zgromadzenia odbyło się staropolskie święcone, gdzie mieszczanie w szarem ubraniu zasiedli koło inteligencyi i wszyscy byli jako jedna rodzina polska, bo Sokół nie zna różnicy między panem a mieszczaninem czy też chłopem. Uroczystość tę zakończyły liczne przemówienia i śpiewy narodowe.

Dzielna dziewczyna. Pewna kucharka w Budapeszcie złożyła niedawno temu dowód niezwykłej przytomności umysłu. Z jej chwilowej nieobecności w kuchni skorzystał złodziej, który przez otwarte drzwi zakradł się do kuchni. Okiem znawcy rzucił na porozmieszczane na półkach naczynia srebrne i za jednym susem porwał kosztowną wazę i misę, które czemprędzej zaczął pakować do worka. W tej chwili zjawiła się kucharka. Miała w ręku duży blaszany garnek, z którego zrobiła zgoła niespodziewany użytek. Oto nagle wsadziła garnek, niby kapelusz, na głowę rzezimieszka, ale ponieważ głowa pana złodzieja była za duża, więc rezolutna kucharka, mówiąc po krakowsku, »przypasowała mu czako«, t. j. pięścią silnie uderzyła w dno garnka, który w tej chwili zapadł się aż po szyję złodzieja.



Nic dziwnego, że nos jego znacznie przy tem ucierpiał. To też zaczął w niebogłosy krzyczeć i rozpaczliwe czynić wysiłki, by się uwolnić z pułapki, w którą wpadł. Lecz napróżno się szarpał — czako

było gruntownie dopasowane. Musiano aż zawezwać blacharza, który nożycami rozciął ściany garnka, i w ten sposób uwolnił go z tej niezwykłej maski. Musiano go zawieźć do szpitala, gdyż doznał złamania kości nosowej. Policya rozpoznała w nim znanego włamywacza. Obrazek nasz przedstawia tę pułapkę, w jaką wpadł rzezimieszek dzięki przytomności umysłu kucharki.

(W. T.) **Nagły zgon.** Gospodarz Jędrzej Krzyż ze wsi Witów, powracając dnia 10 kwietnia wieczór z jarmarku z Czarnego Dunajca, wstąpił do krewnych swoich w Chochołowie. Gdy się tam posilał, nagle zasłabł i umarł.

(J. K.) **Trzy źródła.** Z powodu wielkich opadów deszczowych stoi na polach woda, a w Olesku na Sewerynce wytrysły na polu zasianem pszenicą trzy źródła, które po kilkudniowem istnieniu przestały bić.

(J. K.) **Drzewo olbrzym.** W Unterwalden, pow. przemyślańskim, rosła olbrzymia lipa, mająca w obwodzie przeszło 8 metrów. Wiekowe to drzewo leży obecnie na ziemi, powalone niedawną zawieją śnieżną. I żal dziś patrzeć, jak ten kolos, pomnik przeszłości i niemy świadek wielu wypadków, leży wyrwany z ziemi, która mu przez tyle lat była żywicielką.

Zastrzelony przez kłusownika. Leśny Kuchta obszaru dworskiego Zatwarnica, koło Lutowisk w Galicyi, wyszedłszy do lasu, spotkał się z kłusownikiem z sąsiedniej gminy Rosochata, którego zaczął ścigać. Nagle kłusownik odwrócił się i strzelił do leśnego, raniąc go śrutem w podbrzusze. Postrzelony Kuchta zaszedł jeszcze do domu i po pięciu dniach zmarł na zakażenie krwi. Żandarmerya przyaresztowała sprawcę, który przyznał się do winy.

(J. K.) **Rusini a przemysł krajowy.** We Lwowie grono poważnych ludzi Polaków założyło „Ligę pomocy przemysłowej“, która ma na celu popierać i rozpowszechniać towar galicyjski a pruski precz odrzucać, to znaczy bojkotować. Ażeby każdego, przedewszystkiem zaś lud po wsiach przekonać, że towar z galicyjskich fabryk jeśli nie jest lepszym niż pruski, to z pewnością gorszym nie jest; Liga urządza wystawy ruchome po wsiach, gdzie bezpłatnie oglądać można wszystkie rzeczy robione w Galicyi. Jednę z takich wystaw urządziła Liga we wsi Strutynie, pow. złoczowskim. Rusini, mieszkańcy tej wsi, zmówili się i żaden z nich nie pospieszył oglądnąć wystawy jedynie dlatego, że urządzili ją Polacy, jakkolwiek na tej wystawie były nietylko towary polskie, lecz także i ruskie. Tak to bracia Rusini starają się nam szkodzić, jednak w tym wypadku zaszkodzili i sobie, gdyż dobro kraju powinno leżeć na sercu tym wszystkim, którzy go zamieszkują.

Siczyński w Kanadzie. Wiedeńskie gazety podają ciekawe szczegóły w sprawie ucieczki Siczyńskiego do Kanady, państwa położonego w północnej Ameryce. Bezpośrednio po ucieczce z więzienia stanisławowskiego zatrzymał się morderca śp. Andrzeja Potockiego przez trzy tygodnie w okolicy Stanisławowa, a tu przyjaciele jego trzymali go w ukryciu w piwnicy na kartofle. Gdy kryjówka ta okazała się niepewną, schowano go w okłocie słomy w stodole. W tym czasie władze zaniechały pozornie bezskutecznego pościgu, skutkiem czego Siczyński przebywał w pewnej wsi jawnie w przebraniu robotnika. Po pewnym czasie wyjechał Siczyński do Wiednia w przebraniu wachmistrza, skąd po krótkim pobycie w ubraniu cywilnem wyjechał przez Szwajcaryę do Paryża a stamtąd na okręcie francuskim do Kanady. Podobno Siczyński bronił się przed ucieczką wszelkiemi siłami. Przyjaciele rzekomo porwali go z więzienia prawie przemocą. Z więzienia uciekł w przebraniu dozorcy, wsiadł na furę chłopską, na której przebrał się natychmiast w zwykły strój i tak dostał się w okolicę Stanisławowa. W obecnem położeniu Siczyński czuje się bardzo źle i przyjaciele pono muszą stale nad nim czuwać, by się nie oddał dobrowolnie w ręce władzom.

Więcej niż pewna, że owe opowieści są prostą bajką, jakoby Siczyński nie chciał uciekać, a teraz w Kanadzie chciał się oddać władzom. Gdyby uciec nie chciał, nie wychodziłby z więzienia. Przemocą go przyjaciele przecie nie wywlekali, a on nie krzyczał gwałtu!

O upaństwowienie szkół na Śląsku. W Czechowicach (Śląsk cieszyński) odbył się staraniem Koła TSL. dn. 14 kwietnia wiec obywatelski, w którym wzięła liczny udział ludność gmin Czechowic i Dziedzic. Przewodniczył Dr. Ludwik Pick. Referat o smutnym stanie budżetu TSL. i o potrzebie upaństwowienia szkół średnich TSL. w Białej wygłosił p. Franciszek Choma. Po ożywionej dyskusyi o potrzebach szkolnictwa polskiego i o zaniedbywaniu spraw ludności polskiej, uchwalono przedstawione rezolucye z tem, aby domagać się upaństwowienia także w gimnazyum w Orłowej. Dnia 14 b. m. odbył się wiec obywatelski w Zabrzegu, na którym po referacie p. Józefa Madejskiego, licznie zebrana ludność burzliwymi oklaskami uchwaliła przedstawione rezolucye co do upaństwowienia szkół średnich T. S. L. w Białej.

(F. K.) **Święcone,** tradycyjny zwyczaj polski zebrał 15 b. m. dość liczne grono Polaków na wspólne święcone, urządzone przez cieszyńskie towarzystwa: Czytelnię ludową, Sokół i Towarzystwo śpiewackie. Święcone zagajone zostało przez ks. prof. Grima poświęceniem wieczerzy i okolicznościowem przemówieniem, w którem nadzwyczaj popularny i lubiany powszechnie z powodu głębokiego zrozumienia dla każdej sprawy ksiądz nawoływał do zgody wśród nas samych. Po spożyciu wspólnej wieczerzy bawiono się ochoczo wśród śpiewów i gry fortepianowej do godz. 10, poczem młodzież zabrała się do ochoczych tańców.

Krwawy wypadek pogromcy. Niedawno temu licznie zebrana publiczność w cyrku warszawskim była świadkiem wstrząsającego wypadku, który tylko dzięki przytomności umysłu pogromcy dzikich zwierząt, nie zakończył się jego śmiercią. W chwili, gdy wpuszczono na boisko lwy z wagonu, jeden z nich, nazywany »Herkules«, rzucił się na swego pogromcę, któremu jednem uderzeniem łapy zdarł z ramion ubranie. Z obnażonego ramienia trysnęła krew z rany zrobionej przez lwi pazur.



Lew, jakby przerażony swym czynem, cofnął się. Ta chwila wystarczyła pogromcy do umknięcia za kratę. Lwy przy pomocy strumienia wody wpędzono napowrót do wagonu. Rana pogromcy nie była na szczęście ciężką.

(F. K.) **Wypadek kolejowy.** W nocy z 13 na 14 kwietnia najechał pociąg pospieszny z Wiednia na lokalny, wiozący służbę kolejową na nowy dworzec w Boguminie (Śląsk austr.) i to tak nieszczęśliwie, że jeden wagon najechanego pociągu odrzucił aż na trzeci tor. Ze znajdujących się w wagonie ludzi odniósł poważniejsze obrażenia maszynista kolejowy nieznanego na razie nazwiska. Powodem katastrofy było opóźnienie pociągu pospiesznego.

(F. K.) **Pożar.** Dnia 17 kwietnia w nocy wybuchł pożar w Krosnej koło Cieszyna (Śląsk austr.). Pastwą nieubłaganego żywiołu padła dosyć obszerna zagroda niejakiego Szuścika.

Obrona fortu tureckiego. Wielka odwaga i waleczność Turków i Arabów w obecnej wojnie w Trypolisie, nie przydaje się na nic. Przewaga wojska włoskiego nad tureckiem, pochodząca z lepszego uzbrojenia i lepszej taktyki wojennej, zaraz na początku wojny była widoczna. Jak telegramy donoszą, cofają się Turcy wgłąb kraju, gdyż nie mogą stawić czoła przeważającym siłom włoskim.



Forty tamtejsze, pochodzące często jeszcze z 16 wieku, są prawie wszystkie w rękach włoskich. Inne, będące jeszcze w rękach tureckich, nie mogą odeprzeć nietylko ognia działowego, ale i karabinowego i przechodzą powoli w ręce włoskie. Obrazek nasz przedstawia zdobycie jednego z takich fortów przez Włochów.

Zatonięcie największego okrętu. W niedzielę, dnia 14 kwietnia, o godz. 10 wieczór zdarzyła się na oceanie Atlantyckim, w pobliżu Ameryki, olbrzymia katastrofa. Największy okręt na świecie, »Titanic« (czytaj Titanik), własność angielskiego towarzystwa okrętowego, wiozący około 2440 podróżnych, skutkiem zderzenia z olbrzymią górą lodową, które o tej porze płyną po oceanie, zatonął, a około 1175 ludzi utonęło. Reszta, około 700 uratowała się, wsiadłszy do łodzi ratunkowych, z których zabrał ich inny okręt. Na tym ogromnym »Titanicu«, który był dwa razy większy niż rynek krakowski i tworzył istne pływające miasto, znajdowało się między innymi sześciu amerykańskich milionerów, których majątek wynosi razem trzy i pół miliarda koron. Wśród nich znajdował się milioner Astor, którego majątek wynosi 700 milionów koron. Sam okręt, bez wewnętrznego urządzenia, kosztował półtora miliona funtów szterlingów. Szkodę obliczają na najmniej 600 milionów koron. Na tym ogromnym okręcie, zatonęło także 3.418 wartościowych pakietów okrętowych. Wśród podróżnych znajdowali się holenderscy handlarze dyamentów, którzy mieli przy sobie towar wartości 120 milionów koron. Również kufry podróżne milionerów amerykańskich miały olbrzymią wartość. Jedna z pań amerykańskich dała do przechowania w kasach okrętu kasetę z klejnotami wartości 3 milionów koron. Zatonięcie okrętu »Titanic« jest największą katastrofą okrętową, jaką wogóle kroniki zapisują. W roku 1811 zatonął koło Danii okręt francuski z 1400 podróżnymi. W wieku XIX zdarzały się katastrofy większe np. na pewnym okręcie angielskim zginęło 446 osób, zaś na okrętach niemieckich 280, 350 i 400 osób. Największa katastrofa wydarzyła się w roku 1906, w której zginęło 1200 osób.

Dnia 18 b. m. przybył do Nowego Jorku okręt »Carpathia« z rozbitkami »Titanica«. Przybycia okrętu oczekiwały tysiączne tłumy publiczności, zebrane w porcie. Po przybyciu okrętu rozegrały się wstrząsające sceny. Zebrani witali swoich krewnych, których nie spodziewali się już więcej ujrzeć, drudzy rozpaczali po stracie swoich bliskich. Wiele osób z ocalonych rozchorowało się na »Carpathii«, niektórzy umarli. Wielu z ocalonych dostało pomieszania zmysłów. — Podróżni opowiadają wiele okropnych szczegółów katastrofy, jak np. że kapitan »Titanica« Smith, odpowiedzialny za szalenie szybką i niebezpieczną wśród gór lodowych jazdę okrętu, popełnił samobójstwo. Chciał on zastrzelić się zaraz po zderzeniu się okrętu z górą lodową, zdołano mu jednak przeszkodzić. Po chwili jednak kapitan Smith zdołał wymknąć się na górny pomost, gdzie wystrzałem z rewolweru odebrał sobie życie. Za jego przykładem poszedł starszy inżynier. Podróżni opowiadają dalej, że z powodu zderzenia się okrętu z górą lodową pękły wszystkie kotły, z powodu czego pogasły natychmiast wszystkie światła na okręcie. Okręt zniknął w ciemnościach. Wśród kilku tysięcy podróżnych, którzy znajdowali się na okręcie, wybuchła straszna trwoga. Wiele osób wpadło do wody, nie mogąc dostać się do łodzi ratunkowych. Ilość podróżnych na »Titanicu« wynosiła ogółem około 2440 osób wraz z załogą. Na pokładzie »Carpathii« znajduje się rozbitków wraz z załogą około 635, zginęło więc około 1750 ludzi.

Wdzięczność Chińczyka. Chińczycy nie należą do narodowości, którąby innym za wzór stastawiać można. Jest to naród chytry, podstępny i nie gardzący żadnymi środkami, służącymi do dopięcia celu. Chińczyk umie jednak być wdzięcznym. Oto piękny tego przykład.



Wśród zamieszek rewolucyjnych w Chinach pewien Europejczyk miał nieszczęście popaść w podejrzenie u powstańców chińskich i został stracony. — Zemsta Chińczyków dosięgnęła i rodzinę nieszczęśliwego. Powstańcy złapali jego brata, żonę i dzieci i zawlókłszy do opuszczonej jakiejś stajni, skrępowali ich, zostawiając na pastwę strasznej śmierci głodowej. Ze strasznego położenia — jeńcy nie jedli już przez dwa dni — uratował ich pewien Chińczyk, odgrywając przez to rolę ducha-oswobodziciela, powodowany uczuciem wdzięczności. Zamordowany bowiem przez powstańców ojciec nieszczęsnej rodziny wyratował był przed niedawnym czasem wdzięcznego Chińczyka od śmierci z rąk bandytów.

Wykaz dochodów ruchu i odbytych mil morskich Austro-Amerykany w Tryeście. Przychód do końca lutego 1912 K. 5,349.794 do końca lutego 1911 K. 4,295.401, zatem więcej o 1,054.393 K. Ilość odbytych mil morskich do końca lutego 1912 260175, do końca lutego 1911 r. 218.425, zatem więcej o 41.750.

Podziękowanie Towarzystwu asekuracyjnemu „Wisła" we Lwowie. Dnia 14. lutego b. r. zniszczył pożar doszczętnie nietylko moje budynki, ale i cały mój dobytek w zbożu, paszy i sprzętach gospodarskich. Na szczęście byłem ubezpieczony we »Wiśle«, która pomimo niebezpiecznej przeprawy przez San z powodu ogromnej wody wysłała natychmiast swojego urzędnika i w parę dni wypłaciła mi odszkodowanie. (157)

Ubezpieczajcie się Bracia tylko we »Wiśle«, a na wypadek, broń Boże, nieszczęścia, sami przekonacie się o jej sumienności.

Jakób Siek z Kłyżowa, pow. niski.

Austro-Amerykana — Tryest. Dnia 12 b. m. odbyło się posiedzenie Rady nadzorczej towarzystwa Austro-Amerykany, na którem przedłożono bilans tego towarzystwa za rok 1911. Wedle sprawozdania zarządu, rozwój interesu we wszystkich kierunkach ruchu był korzystny, jakkolwiek ruch połudn.-amerykański, pomimo ilościowo dość znacznego rozszerzenia, nie przyniósł zadawalniających rezultatów. — Czysty dochód po potrąceniu znacznych wydatków wynosi Kor. 1,586.360 20 hal. — Poczynione przez towarzystwo inwestycye dla importu zamorskiego mięsa (chłodnie) w kwocie K. 1,145.506 3 hal. zostały w zupełności amortyzowane ze względu na wzbroniony dowóz mięsa. Zgromadzeniu przedłożono propozycyę, by kwotę pozostałą po wyposażeniu funduszu rezerwowego użyć do zapłacenia 7%-owej dywidendy (w roku przeszłym 4%). Program budowy przewidziany na dłuższy okres czasu stosownie do zwiększonych wymagań ruchu do Północnej i Poludniowej Ameryki i wskutek tego niezbędnego rozszerzenia parku okrętowego towarzystwa, w tym celu przedłożony, wynoszący około K. 25,000.000 został przez Radę nadzorczą zatwierdzony. Kwota pokryta zostanie po największej części z własnych funduszów towarzystwa. Celem pokrycia resztującej kwoty przedłożoną zostanie 8. walnemu zgromadzeniu towarzystwa odbyć się mającemu dnia 29 kwietnia b. r. kwestya wydania 30.000 sztuk akcyi wartości nominalnej K. 200 — zatem podwyższenie kapitału akcyjnego z K. 18,000.000 na K. 24,000.000. — Nowe akcye mają upoważnienie pobrania dywidendy za rok 1912 i będą oferowane akcyonaryuszom w stosunku: 1 nowa akcya do 3 dawnych akcyi po kursie K 240·— + bieżących procentów. — Ulokowanie całej emisyi nowych akcyi zapewnione zostało przez Syndykat gwarancyjny.

Odpowiedzi Redakcyi.

PP.: Jan Cetera w T.: Żadnego sprostowania pisać nie będziemy, bo gdybyśmy wydrukowali list Pański w całości, wszyscy przekonaliby się, czy nie pisaliśmy prawdy i czy nie mogliśmy się oburzyć. Za to wierzymy chętnie zapewnieniu Pańskiemu i Pańskiego brata, że Pan jest dobrym katolikiem i sądzimy, że list był wynikiem jakiejś chwilowej nieoględności lub rozdrażnienia, któremu każdy człowiek może uledz. — Antoni Kościelny w Sz: Niech się Pan pocieszy, że wszyscy noszący w swem sercu iskrę poezyi każdą radość i każdy smutek odczuwają głębiej, niż zwykli śmiertelnicy. I to właśnie nieraz staje się prawdziwie ciężkiem. »Z chwil zadumy« udało się i będzie wkrótce. — Franciszek Kellner w T. L.: W wiadomej sprawie my nie pośredniczymy, gdyż to było zwykłe, płatne ogłoszenie. Niech się więc Pan zwróci do ogłaszającego, którym jest właśnie p. St. Garzeł a on informacyi udzieli. Gazeta, o którą Pan pyta, zdaje nam się, przestała już wychodzić, gdyż jej sami dłuższy czas nie otrzymujemy. W każdym razie wydawca mieszka tam, gdzie i poprzednio. — Karol Suchanek w W. G: Owszem jesteśmy gotowi pośredniczyć w zbieraniu składek na cele dobroczynne. Dlatego też i nad praktycznością Pańskiej propozycyi pomyślimy. — Franc. Budzisz w P.: Okładki i książkę do nabożeństwa może Pan nabyć. – Jan Nowak w S.: Kalendarza proszę nie opłacać, gdyż na dawny adres pierwszy kwartał był opłacony; na żądanie możemy przysłać teczkę, gdyż ma Pan u nas jeszcze 50 hal. — Józef Kadela z W.: Należy się 1·50 K. a nie 1·17 K. — Marya Prajerówna w L.: »Jako ten śnieg« zachowamy na później t. j. do zimy. Za przesyłkę dziękujemy — jeszcze czas. — Wiktorya Bilicka w W. Ś.: »Sprzedał Bartek swe zagony« nadeszły i będą. — Jan Majdak w Cz: Przecież to kradzież poprostu przepisywać cudzą pracę i podpisywać pod nią swe nazwisko. Autor może o rzecz taką zaskarżyć, jak o zwykłą kradzież. — Jędrzej Czarnik w Rz.: Myśl zawarta w nadesłanym artykule bardzo piękna. Rzeczywiście »Rola« nasza pragnie być podobna ziemskiej roli i gdy tamta żywi ciało nasza pragnie żywić ducha. Za ciepłe i miłe słowa serdeczne dzięki. — Józef Walatek w R.: Podręcznika takiego my nie znamy. Zapytywaliśmy się w księgarniach, lecz powiedziano nam, że w Krakowie niema. — Wojciech Lubas w G.: A kto ułożył nadesłany nam obecnie wiersz? — Władek z Łęgu: Nadesłaną nam bajkę czytaliśmy już gdzieś w tłomaczeniu z niemieckiego. Wszelkie przeróbki są dla nas bezużyteczne. — Franciszek Krzanowski w J. p., Józef Bochnia w T. i Piotr Tarasek w K.: Zagadki dobre, pójdą powoli. — Jan Małkowicz w G.: Czy list nadszedł, nie pamiętamy. — Franciszek Zydroń w W.: Owszem, drugi raz przesłany będzie w Kalendarzu. — Robert Rydz w T.: Będziemy starali się uczynić zadość. Po ukończeniu »Opowiadania« będzie więcej miejsca na wiersze. — Walenty Pasierb w Cz.: Za przesyłkę dziękujemy. — Mikołaj Moskal w O.: Przy wojsku »Rolę« wielu prenumeruje, więc i Pan będzie mógł. Zabraniają tylko pism politycznych. Uwagi listu bardzo słuszne.

Potwierdzenia prenumeraty.

Michał Klimczak z K. 4 K. — Zwierzchność gminna z J. 4 K. Stanisław Sawczak z K. 4 K. — Józef Mołda z G. 4·50 K. — Czyt. T. S. L. z C. 4 K. — Stanisław Jonik z K. 4 K. — Karol Woźnica z G. 4 K. — Jan Nowak z S. 4 K.

Oprócz tego nadesłali PP.: Floryan Lech z H. 3·80 K. — Ludwik Łabędź z S. 3 K. — Jan Głowacz z Ż. 1 K. — Antoni Niedzielski z N. 2 K. — Czyt pol. z D. 1 K. — Jan Bartosz w Ł. 1 K. — Franc. Możdżan z M. 1 K. — Firla Franc z K. 2 K. — Zamorski Mateusz z T. 2 K. — Wawrzyniec Kryczka z Z. 2 K. — Karol Honkisz z K. 1 K. — Jędrzej Klimaniec z Z 2 K. — Jan Kraus z M. 2 K. — Franciszek Jaromin z D. 2 K. — Michał Puzio z D. 2 K. — Franciszek Miękiński z A. 1 K. — Apolonia Zborowska z Ł. 1 K. — Antoni Bilski z R. 1 K. — Jan Buczek z G. 1 K. Aniela Kmieć z S. 1 K. — Piotr Pałka z B. 1 K. — Łukasz Wujcik z M. 1 K. — Szczepan Rak z H. 1 K. — Nimfa Madlówna z P. 2 K. — Michał Fryc z S. 2 K. — Tomasz Włoch z P. 2 K., Stanisław Czaja z S. 1 K. — Jan Waleczek z C. 2 K. — Helena Capała z S. 1 K. — Józef Zygmund z P. 2 K. — Józefa Laśko z P. 3 K. — Julia Chmiel s B. 3 K. — Jan Żur z Z. 1 K. — Andrzej Klimaniec z Z. 2 — Jan Płaza z Z. 2 K. — Józef Furmanek z N. 2 K. — Jan Majchrowicz z S. 3 K. — Mikołaj Górka z P. 2 K. — Antoni Nidenthal z B. 3 K. — Marcin Jachowicz z K. 3 K. — Marya Cierniakówna z T. 4 K. — Polański W. z P. 3 K.

Zagadki do nagrody.

1. PRZEPLATANKA.

(Ułożył Kazimierz Drzewicki).

Otton, zamek, dom, szyba, tajać, zima, Jan, czaty, trę cię.

Z liter powyższych słów ułożyć przysłowie polskie.

2. SZARADA.

(Ułożył Jędrzej Czarnik).

Pierwsza z dwóch liter się składa,
A we Włoszech nazwę rzece nada.
Drugie trzecie taka moda,
To wam wskaże wielka woda
W całość złożysz te trzy zgłoski,
Będzie kawał ziemi polskiej.

3. ŁAMIGŁÓWKA LITEROWA.

(Ułożył Tomasz Dziewit).

A, a, b, c, c, d, d, d, e, e, ę, ę, h, i, i, i, i, i, k, n, n, n, o, o, o, o, ó, p, r, s, s, s, u, u, u, w, w, z, z.

Ułożyć z tych liter znane przysłowie polskie.

4. SZARADA.

(Ułożył Ludwik Ciołczyk).

Pierwsze i drugie jest obcym wyrazem,
Na listach »w miejscu« zastąpi czasem,
Piąte i czwarte krawcy potrzebują,
Drugie i czwarte na myszy polują,
Trzecią i piątą bardzo się pyszę,
Gdy tylko polskie, chętnie ją słyszę,
Drugie, piąte i pół pierwszego,
Grzeje żelazo i tłucze w niego,
Całość nam bardzo znana istotą,
Żywi się tylko węglem i wodą.

5. SZARADA.

(Ułożyła Józefa Hirszberg).

Trzecie z pierwszem — wiecie,
Drugie z pierwszem — trzecie
Wszystko odgadniecie.

6. TAJEMNICZY BILET.

(Ułożył Jan Ermel).

Adam Torniistr.

Odgadnąć zawód tej osoby.

7. TAJEMNICZY BILET.

(Ułożył Jan Ermel).

Tekla Trafisge

Odgadnąć zajęcie tej osoby.

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 4 maja 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

* * *

Znaczenie zagadek z numeru 15 »Roli«: Tajemnicze bilety: 1. **Profesor gimnazyalny.** 2. **Pedel uniwersytecki.** 3. **Stolarz fąbryczny i meblowy.** 4. **Konduktor tramwayowy.** 5. **Minister skarbu.** 6. **Elektrotechnik.** 7. **Maszynista kolejowy.** 8. **Właścicielka hotelu.** Arytmogryf: **Franciszek Józef I., cesarz austryacki.**

* * *

Dobre rozwiązanie wszystkich zagadek nadesłali tylko: P. Józef Kołatek z S. i Koło Macierzy szkol. w St., oni też nagrody otrzymali.

* * *

Częściowo dobre rozwiązanie nadesłali PP.: Adela Bezokówna z K. M., J. Dziuba z S., J. Adamczyk z S. W. (wierwszem), Warchoł Adam z Z.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 23 kwietnia

Pszenica	Kor.	11 60	do	12·—	za 50 kg.
Żyto	„	9·90	„	10 65	„
Jęczmień	„	9·10	„	9 75	„
Owies	„	9 60	„	10 30	„
Otręby pszenne	„	8·—	„	8·10	„
Otręby żytnie	„	8·—	„	8 10	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 23 kwietnia:

Buhaje	Kor.	152	do	412	za sztukę
Woły	„	400	„	485	„
Krowy	„	152	„	300	„
Jałówki	„	90	„	200	„
Cielęta	„	28	„	68	„
Owce i kozy	„	—	„	—	„
Świnie bita waga)		150	-	164	za 50 kg.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
Drukarnia „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.